

Do przyjaciół w Polsce!

Wyjechaliśmy z San Cristobal w Wenezueli 1 kwietnia 2015 roku. Z wielkim bólem pożegnaliśmy krewnych, przyjaciół. Przyszło nam spakować cały nasz dorobek do kilku walizek. Nie było łatwo opuścić ojczystą ziemię, ziemię urodzenia, miejsce, gdzie się żyło. Doświadczenie pakowania walizek mieliśmy wyjeżdżając na wakacje, tym razem... nie wiedzieliśmy: kiedy? I dokąd? I czy będzie możliwy powrót. Sytuacja w Wenezueli była bardzo trudna: brak żywności, leków, hiperinflacja, za cały miesiąc pracy z trudem można było kupić kilogram mięsa, brak bezpieczeństwa i inne trudności, zmusiły nas szukać lepszej przyszłości dla naszych dzieci. Teraz, kiedy piszę te słowa, w naszym mieście, gdzie mieszkaliśmy od tygodnia, nie ma w ogóle energii elektrycznej, brakuje wody pitnej. Ludzie w szpitalu umierają, bo nie działają żadne aparaty. Podobna sytuacja jest w całym kraju.

Naszym celem było miasto Santiago de Chile. Przyjechaliśmy w nocy w Wielki Piątek – 3.04.2015 roku. Było dużo emocji w czasie podróży. Usiłowaliśmy się trzymać twardo i zachować spokój, tak aby oszczędzić przykrości dzieciom: 4-letniej córeczce i 5-letniemu synkowi. W Chile, przyjął nas nasz kuzyn, który już wyjechał wcześniej. Z ręki Boga otrzymaliśmy miejsce w przedszkolu, po 3 tygodniach wynajęliśmy osobne mieszkanie. Udało się załatwić papiery. Z pracą było wiele trudności. Pieniądze zaoszczędzone już się kończyły, a pracy wciąż nie było. Ale dzięki Bogu znaleźliśmy pracę.

Odkąd przyjechaliśmy do Santiago, włączyliśmy się w życie parafii św. Jana Ewangelisty prowadzonej przez ojców pijarów. Parafia przyjęła nas z wielką gościnnością. Jest wiele grup, które ożywiają życie parafii. Wśród nich świetlica "Centrum Calasanz", gdzie kilkadziesiąt dzieci otrzymuje pomoc w nauce, coś do zjedzenia, mogą się wspólnie bawić i modlić. Mój mąż włączył się w prowadzenie zajęć sportowych jeden raz w tygodniu w świetlicy. Parafia organizuje zbiórkę odzieży, żywności i je rozdziela. Jesteśmy też włączeni w adorację wieczystą, mamy swój dyżur każdej środy od 3 do 4 godziny nad ranem.

Jako migranci, wiele razy czuliśmy się bezradni z różnych powodów: z powodu opieki zdrowotnej, problemów ekonomicznych, legalności pobytu. Rozłąka z najbliższymi była najtrudniejszym doświadczeniem. Po 3 latach, z pomocą mojej siostry, udało się ściągnąć moich rodziców. Radość była wielka dla mnie i dla dzieci. Niestety ta radość była krótka, bo mój ojciec doznał zawału serca we wrześniu 2018 roku, a w październiku zmarł. Było ciężko... pochować ojca w obcej ziemi. Tylko Bóg nam dał siły, by żyć dalej. Aktualnie mąż i ja pracujemy prowadząc własną działalność, mały zakład fotograficzny. Wdzięczni jesteśmy za pomoc parafii: za odzież, żywność i pieniądze w sytuacji kryzysowej. Aktualnie dziękujemy za wyprawkę szkolną dla dzieci. Każde dziecko posłane do szkoły to w warunkach

tutejszych to suma około 3-4 tys. zł za cały rok szkolny tj. 10 miesięcy. Stokrotne dzięki dla Chilijczyków i przyjaciół z Polski za pomoc. Niech Pan Bóg wynagrodzi swoim błogosławieństwem.

Indira Sanguino z mężem i dziećmi